

## ROZDZIAŁ II

---

### MOJA PRZYGODA Z CHIRURGIĄ PLASTYCZNĄ

---

Już jako dziecko doskonale czułem się przed kamerą, nie miałem tremy i uwielbiałem pozować do zdjęć. Często podpatrywałem prezenterów telewizyjnych, ubierałem się elegancko tak jak oni i mówiłem do szcztotki do włosów: „Dzień dobry, nazywam się Maciej Kolinka, witam państwa bardzo serdecznie w programie takim a takim. . . ”. Oczywiście w miejscu słów „takim a takim” pojawiały się rozmaite pomysły na programy. Niestety wraz z upływem czasu, w miarę mojego dojrzewania, coraz bardziej niepokoiło mnie moje lustrzane odbicie. Natura nie była dla mnie łaskawa i obdarowała mnie dużym, garbatym nosem, który zupełnie nie pasował do mojej twarzy. Wiedziałem, że dobry dziennikarz musi być przebojowy, otwarty, błyskotliwy i pewny siebie. Musi świetnie czuć się we własnym ciele i akceptować siebie na wizji. Jedyłą moją blokadą w relacjach ze światem był mój nos: duży, góralski i garbaty.

W wieku czternastu lat po raz pierwszy pomyślałem o operacji plastycznej. Bardzo chciałem wykonać zabieg w wakacje pomiędzy szkołą podstawową, a szkołą średnią, tak by nikt w nowej szkole o nim nie wiedział. W tamtych czasach operacje plastyczne nie były praktycznie wykonywane w celu poprawienia wizerunku. Lekarze przeprowadzali je głównie u osób po wypadkach lub z wa-

dami wrodzonymi. Oczywiście, że rozwijała się po cichu chirurgia plastyczna służąca wyłącznie urodzie, ale związana była głównie z osobami publicznymi z pierwszych stron gazet, okryta woalką tajemniczości i opłacana dużymi pieniędzmi. Społeczeństwo bardzo źle reagowało na takie rewelacje, uznając je za snobizm, dziwactwo i fanaberię. Nie poruszało się więc tematu, nawet w czasopiśmie dla kobiet. Dlatego właśnie bardzo zależało mi na wykonaniu zabiegu jeszcze przed szkołą średnią. Wiedziałem, że potem nie będę mieć na to odwagi i będę zmuszony odczekać całe cztery lata, do matury.

Rozpocząłem poszukiwania lekarza: otworzyłem gazetę codzienną i w dziale ogłoszenia znalazłem napisaną małymi literkami wzmiankę „chirurgia plastyczna”, wraz z podanym numerem telefonu. Chwyciłem za słuchawkę i już po chwili rozmawiałem z chirurgiem, który za całe ówczesne 12 000 000 chciał poprawić mi nossek w swoim prywatnym gabinecie, czyli domku jednorodzinny z kuchnią przerobioną na salę operacyjną. Ponieważ nie dysponowałem taką kwotą pieniędzy, w grę wchodził kredyt. W końcu jednak przyjaciółka mamy zaproponowała, że pożycz mi pieniądze, a ja zdecydowałem się na zabieg. Na szczęście wymagana była zgoda mojej mamy, gdyż byłem osobą niepełnoletnią. Dlaczego na szczęście? Przede wszystkim dlatego, że przeprowadzanie operacji plastycznej na rozwijającym się układzie kostnym u czternastoletniego chłopca to barbarzyństwo. Mama doskonale wiedziała, jak ważna jest dla mnie ta operacja. Rozumiała mnie jak nikt inny, gdyż sama jako dziecko miała kompleks dużego nosa i również marzyła o operacji plastycznej. Ponieważ wiedziała, jak okrutne potrafią być dzieci, nigdy nie traktowała mojej decyzji jak fanaberii niedojrzałej emocjonalnie osoby. Pełna obaw o moje zdrowie nie wyraziła jednak zgody na zabieg i poprosiła mnie, bym poczekał do pełnoletności. Mama doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że chirurgia plastyczna w Polsce służąca estetyce dopiero raczkowała. W pierwszej chwili oczywiście miałem jej to za złe, ale teraz wiem, że była to bardzo mądra decyzja, wynikająca z miłości i troski. Wiedziałem, że muszę cierpliwie czekać, mimo to nadal żywo interesowałem się tematem. Współpraca z networkmarketingową

firmą kosmetyczną, makijaże i technikum hotelarsko-turystyczne sprawiało, że czułem się spełniony zarówno zawodowo, jak i intelektualnie. Nie czułem się jednak szczęśliwy. Nie miałem zbyt wielu przyjaciół, nie miałem związku uczuciowego, czasem nawet obowiązki były dla mnie wymówką od wyjścia ze znajomymi. Nie bywałem na imprezach, w klubach, omijały mnie osiemnastki znajomych i inne wydarzenia towarzyskie. Kontakty z rówieśnikami kojarzyły mi się raczej z przykrością niż z przyjemnością, dlatego szukałem kontaktu z osobami dorosłymi. Za to wszystko odpowiedzialny był mój nos, a raczej sposób, w jaki postrzegałem go nie tyle ja sam, co otaczający mnie ludzie. Niestety otoczenie nie ułatwiało mi oczekiwania do pełnoletności, ludzie nie oceniali mnie po charakterze, lecz po wyglądzie. Nos, przedmiot złośliwych uwag, głupich żartów i zaczepek, nawet ze strony obcych ludzi na ulicy, blokował mnie, przeszkadzał i drażnił. Doprowadzało mnie do szału, gdy znajomi opowiadając komuś o mnie mówili: „No nie znasz Maćka? To ten z dużym nosem”. Ludzie potrafią być bardzo okrutni, dlatego nie raz wracałem ze szkoły zdołowany i załamany.

W międzyczasie trochę śmieiej i więcej mówiło się o chirurgii plastycznej, w prasie kobiecej pojawiały się wzmianki o lekarzach wykonujących takie zabiegi w Polsce, a w jednym – i chyba nawet jedynym w owych czasach – *talk-show* „Na każdy temat” wystąpiła znana artystka, przyznając się do operacji estetycznej nosa, oraz warszawianka, która pożegnała się ze zmarszczkami za pomocą *face liftingu*. Oczywiście prawdziwe kontrowersje wzbudziła druga z pań, wbrew pozorom wcale nie znana artystka i jej nowy zgrabny nosek, ale zwykła, normalna kobieta, która postanowiła się odmłodzić. To był jak na tamte czasy bardzo „hollywoodzki” krok w polskim społeczeństwie. Owszem, operowano nosy, powiększano piersi, ale przyznać się w telewizji do odmłodzenia skóry twarzy – to dopiero było coś... Z typowo estetycznej strony operacji nosa zawsze można było zgrabnie wybrnąć, tłumacząc decyzję o zabiegu krzywą przegrodą lub trudnościami z oddychaniem. Ale jak wytłumaczyć się z liftingu twarzy?

Kiedyś moja sąsiadka, z zawodu anestezjolog, podczas luźnej rozmowy powiedziała mi, że współpracuje z jednym z bardziej zna-

nych łódzkich chirurgów plastyków i jeśli tylko będę czuł taką potrzebę, skontaktuje mnie z nim. To był kolejny siedmiomilowy krok do przodu w kierunku mojej operacji, mimo to cierpliwie wytrzymałem do osiemnastych urodzin. Radziłem sobie na różne sposoby. . . generalnie starałem się robić wszystko, by odwrócić uwagę ludzi od mojego tak znienawidzonego nosa. Za wszelką ceną chciałem, aby ludzie patrząc na mnie bądź też opisując mnie komuś innemu, nie mówili już „ten Maciek z dużym nosem”. I tak odkryłem solarium. Bez względu na porę roku zawsze byłem mocno opalony. Dzięki temu nikt już nie mówił o moim nosie, lecz o mojej opaleniznie, a znajomi opisując mnie komuś innemu mówili już: „No nie wiesz, który Maciek? Ten taki opalony”. Swoją drogą, był to dla mnie prawdziwy sukces. Nie przypuszczałem nawet, że tak niewiele potrzeba, by odwrócić uwagę złośliwych ludzi, i pewnie gdyby moja decyzja o operacji pokierowana była społeczeństwem, na tym etapie zapomniałbym o problemie. Ja jednak chciałem zoperować nos przede wszystkim dla siebie, po to, by czuć się dobrze i móc w pełni realizować się zawodowo. Kiedyś jeden z kolegów zażartował, że mamy trzeciego bohatera komiksów, był już Batman i Superman, a teraz jest jeszcze Solarman. Być może ktoś inny obraziłby się, ja natomiast odetchnąłem z ulgą, że wreszcie przestano mówić o moim nosie.

Będąc w czwartej, ostatniej klasie technikum hotelarsko-turystycznego, tuż przed studniówką, zdecydowałem się na zabieg. Jednak nie do końca w terminie, o którym myślałem. . . Operację planowałem wykonać po maturze, w wakacje, przed rozpoczęciem roku akademickiego na studiach dziennikarskich. Mimo iż byłem już osobą pełnoletnią, wyszedłem z założenia, że skoro wytrzymałem tak długo, uzbiorę się jeszcze w cierpliwość i poczekam do matury. Chciałem uniknąć plotek i złośliwych komentarzy. Wiedziałem, że po operacji problem się nie skończy, gdyż informacja o niej szybko rozniesie się w całej szkole, a rówieśnicy nie dadzą mi spokoju. Pewnego dnia, gdy szedłem jak zwykle rano do szkoły, zaczepił mnie na ulicy pijany człowiek, prosząc o parę groszy na wino. Odmówiłem i w zamian usłyszałem: „Utnij sobie nos, bo wyglądasz jak Pinokio, chytrusie”. Nie, nie zdenerwowałem się o „chytrusa”,

mimo iż nazywanie „chytrusem” człowieka, który ciężko pracuje na każdą złotówkę i nie chce dzielić się z pijakiem-nierobem, jest delikatnie mówiąc, dalece niestosowne. Za to słowa „wyglądasz jak Pinokio” były jak drzazga wbita pod paznokieć, jak sól na świeżej ranie! Gdy tylko doszedłem do szkoły, rozwścieczony wyjąłem telefon komórkowy i zadzwoniłem do mojej znajomej anestezjolog, i poprosiłem, by umówiła mnie na konsultację z chirurgiem. Coś we mnie pękło, nie zastanawiałem się już nad tym, jak zareagują moi znajomi ze szkoły, co powiedzą nauczyciele, miałem dosyć, po prostu dosyć bycia niewolnikiem własnego nosa. Czuję, jak moje młode lata lecą mi między palcami, miałem dosyć unikania ludzi, luster i złośliwych komentarzy. Niecały tydzień później siedziałem na fotelu w gabinecie „słynnego” pana doktora. Dlaczego słynnego? Bo coraz więcej łodzianek pocztą pantoflową przekazywało sobie jego wizytówkę. Tak, tak w prasie pojawiały się coraz częściej artykuły o tym, jak wiele może zdziałać zdolny chirurg plastyk u osób oszpeconych w wyniku wypadków. Ale kobiety odbierały je jednoznacznie: „Skoro tak świetnie poradził sobie z tak ciężkim przypadkiem, to mój nos, biust czy powieki to dla niego pestka”. To była najlepsza reklama z możliwych. Głośno nie mówiło się o estetycznej stronie przedsięwzięcia, a pacjenci i tak wiedzieli, gdzie się udać w konkretnym celu. Otóż właśnie na fotelu owego „cudotwórcy” spotkało mnie pierwsze rozczarowanie, i to na dzień dobry. Lekarz wcale nie wyglądał i nie zachowywał się jak esteta, osoba wrażliwa na piękno czy ktoś, kto tworzy urodę. Duży, postawny facet, szorstki w obyciu, otarł ręce w zielony fartuch, złapał mnie palcami za nos i podsumował: „Ale masz kichawę”. Mimo iż było to zgodne z prawdą, to chyba jednak nie to chciałem usłyszeć. Ale cóż, pan doktor taktem nie grzeszył.

Wyraźnie powiedziałem lekarzowi o moich oczekiwaniach względem tej operacji, pokazałem nawet zdjęcie nosa, jaki chciałybym mieć. Wymarzyłem sobie prosty, wąski i lekko zadarty. Czyli dokładne przeciwieństwo tego, którym obdarzyła mnie natura. Odniosłem jednak wrażenie, że lekarz nie do końca mnie słucha i sam wie najlepiej, co ma robić. Po kilkuminutowej konsultacji ustaliliśmy termin zabiegu na piątek, 16 stycznia 1999 roku, czyli

dzień przed moją. . . studniówką. Oczywiście, była możliwość zmiany terminu na późniejszy, ale zupełnie nie wchodziło to w rachubę. Byłem zdecydowany na zabieg i nic nie było w stanie mnie od tej decyzji odwieść. Mimo iż lekarz zapewniał mnie, że na studniówce będę z małym gipsikiem na nosku, przeczuałem, że nie dotrę na imprezę. Jednak nie było mi z tego powodu jakoś specjalnie źle. Zdawałem sobie sprawę, że nie będę wraz z moją klasą świętować tego ważnego wieczoru, ale w zamian za to narodzę się na nowo i to było dla mnie w owej chwili najważniejsze. Nic już nie było w stanie mnie powstrzymać. Dzień przed operacją zmarł mój dziadek, wiedziałem, że na pogrzebie będę w opatrunkach, mimo to nie odwołałem zabiegu. Omawiając szczegóły operacji, lekarz przekonywał mnie, że korekta nosa zupełnie nie wymaga hospitalizacji, więc nie ma sensu wykonywać jej w szpitalu, wystarczy gabinet zabiegowy w przyszpitalnej poradni, co zdecydowanie obniży cenę. Szczerze mówiąc, nie do końca spodobał mi się ten pomysł, a już tym bardziej nie zależało mi na zbijaniu ceny kosztem własnego zdrowia. Skoro jednak zaproponował mi to lekarz specjalista, nie oponowałem.

Dzień przed operacją nie spałem prawie wcale, oglądałem sterty gazet, oceniając nosy ludzi na zdjęciach; wyobrażałem sobie siebie już po zabiegu. Tak mocno oczyma wyobraźni widziałem swój nowy nos, że w pewnym momencie, gdy przechodziłem obok lustra i zobaczyłem się ze starym nosem, niemal krzyknąłem. Rano, wedle wskazań lekarza, zjadłem lekkie śniadanie i starałem się czymś zająć do godziny szesnastej, bo właśnie na szesnastą miałem stawić się w klinice. Nie poszedłem tego dnia do szkoły, bo wiedziałem, że nie będę w stanie skupić się na lekcjach. O operacji uprzedziłem tylko kilka najbliższych mi osób z klasy, nie chciałem, by w szkole rozniosła się wiadomość o moim zabiegu, a co za tym idzie, plotki i zbędne emocje.

W szpitalu byłem na pół godziny przed czasem. Siedziałem w pustej poczekalni przed gabinetem, z oddali dobiegały mnie odgłosy z sali operacyjnej. Nie wiedziałem, kto jest operowany ani jaka część ciała, ale to, co słyszałem, sprawiało, że każdy inny człowiek będący na moim miejscu wziąłby nogi za pas. Wyobraźnia

działała swoje. Miałem wrażenie, że operujący lekarz ma wśród swoich narzędzi młotek, piłę tarczową, pompę ssącą i wiertarkę. „Boże, co oni wyrabiają z tym człowiekiem”, pomyślałem. Po chwili otworzyły się drzwi i moim oczom ukazało się łóżko, na którym leżała pani po operacji. . . nosa, zaraz za nią sztab pielęgniarek i sam chirurg. Jedna z pań zaprosiła mnie do pokoju, gdzie miałem przebrać się i przygotować do zabiegu. Chciałem porozmawiać jeszcze chwilę z lekarzem i ustalić ostatnie szczegóły, ale nie był zainteresowany rozmową ze mną. Wahałem się, nagle przyszły mi do głowy tysiące myśli: co będzie jeśli coś się nie uda? Wtedy podeszła do mnie pielęgniarka i powiedziała, że wszystko będzie dobrze, że to znakomity lekarz i będę bardzo zadowolony.

Po chwili leżałem na sali operacyjnej. Pielęgniarka zapytała mnie, jaką formę znieczulenia sobie życzę, odparłem nieco przerażony, że ustalaliśmy wcześniej znieczulenie ogólne. Na to pielęgniarka odparła: „Czyli na Jezuska”; podniosłem się ze stołu i ze znakami zapytania w oczach wyksztusiłem ciche, ale niecierpiące zwłoki „Co?”. Odpowiedź wprawiła mnie w osłupienie: „Walimy pacjenta młotkiem w głowę, on krzyczy „o Jezu” i pada ogluszony, czyli narkoza na Jezuska”. Cóż po chwili zrozumiałem, że pani przejawiała osobliwe poczucie humoru, choć może w innej sytuacji byłoby to nawet zabawne. Ostatnie, co pamiętam, to słowa anestezjologa: „Poczujesz się jak po drinku”, i rzeczywiście, zakręciło mi się w głowie i po, moim zdaniem, chwili obudziłem się z gipsem na nosie. Zgodnie z umową tego dnia musiałem wrócić do domu, więc ciągnąłem za sobą nogi, wisząc lewą ręką na mamie i prawą na mojej sąsiadce. Dobrze, że mieszkam tylko dwie przecznice od szpitala. W domu dostałem krwotoku z nosa i oczu. Wtedy zrozumieliśmy, że zrobiliśmy ogromny błąd, decydując się na operację w przychodni zamiast w szpitalu. Lekarz i anestezjolog zapewniali, że to normalne i wszystko jest w porządku, ale nie było. Nie wolno wypuszczać do domu pacjenta po znieczuleniu ogólnym. Podczas krwotoku mogłem zadławić się własną krwią, również środki używane do znieczulenia ogólnego nie przestały jeszcze działać i mogły wywołać nieoczekiwane skutki, z którymi moja mama w żaden sposób nie umiałaby sobie poradzić. Następnego dnia obudziłem się

ledwo żywy, nos zapchany setonami dał mi popalić, nigdy nie potrafiłem oddychać ustami, więc noc była po prostu męczarnią. Nie mogłem oprzeć się pokusie zerknięcia w lustro, jednak tak szybko, jak wzięłem je do ręki, tak szybko odłożyłem. Nie przypomniałem żywego człowieka: cała twarz była fioletowa, pod oczami i na skroniach miałem ogromne krwiaki, a głowę spuchniętą jak piłka lekarska, ciężką i obolałą. Pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, to że trzy tygodnie zwolnienia to stanowczo za mało. Wedle wskazań lekarza setony umieszczone w nosie miałem usunąć dopiero w drugiej dobie po operacji. Przez całe dwa dni zastanawiałem się, jak ja sam w domu wyjmę z nosa coś takiego, coś co z całą pewnością przykleiło się do świeżych ran. Byłem przekonany, że trzeba będzie nasączyć setony jakimś płynem znieczulającym czy specjalną maścią. Pana doktora nie było, gdyż zaraz po mojej operacji wyjechał na narty, więc pozostała mi sąsiadka anestezjolog. Niepotrzebnie zastanawiałem się, jak usuwa się sączki; okazało się, że bardzo prosto. Pani Ewa złapała jeden po drugim i po prostu wyciągnęła. Po chwili było po wszystkim, a ja bardzo przeproszałem za wulgaryzmy, których użyłem podczas zabiegu, i zacząłem swobodnie oddychać. Niestety, nie na długo, gdyż po kilku godzinach na świeżych ranach w nosie powstały strupy, które utrudniały mi oddychanie. Gdybym tylko miał wtedy wiedzę, którą posiadam dziś... Wystarczyły zwykłe krople nawilżające śluzówkę, jakich w aptekach pełno, lub gojąca, łagodząca maść. Nawilżana śluzówka szybko wróciłaby do stanu sprzed zabiegu. Nie wiedziałem, że na sińce i obrzęki również wolno mi stosować apteczne maści, na przykład z arniką. Nie miałem pojęcia, że witamina C w dawce jednego grama dziennie znacznie przyspiesza proces gojenia i chroni przed powstaniem blizn i zrostów w nosie. Tylko skąd ja mogłem to wszystko wiedzieć, skoro pan doktor uznał przekazanie mi tych informacji za zbędne. Chyba że sam o tym wszystkim nie wiedział, co wy daje mi się obecnie niestety całkiem realne.

Użerałem się więc ze strupami, obrzękiem śluzówki i niedrożnością nosa. Sina, zdeformowana obrzękiem twarz wyglądała, jakbym spotkał się na ringu z zawodowym bokserem. Starałem się nie patrzeć w lustro, gdyż zawsze byłem osobą bardzo zadbaną i oglą-



danie siebie w takim stanie sprawiało mi psychiczny dyskomfort. Niewiele chodziłem, gdyż nos bardzo krwawił, nie mogłem się schylać, więc nie było nawet mowy o umyciu głowy. Upragniona gorąca kąpiel również była wykluczona ze względu na możliwość krwotoku. Ciężko mi jednoznacznie określić, co wtedy czułem. Z jednej strony byłem bardzo szczęśliwy, że mam już to za sobą, z drugiej zaś bardzo się bałem. Pierwszy raz widziałem swoją twarz w takim stanie. Bałem się, że sińce nie znikną, że pozostaną mi widoczne blizny, przerażały mnie czerwone białka w oczach. Chyba tak naprawdę dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak poważny zabieg przeszedłem.

Stopniowo mój stan się poprawiał, sińce i obrzęki powoli ustępowały, a twarz przybierała coraz „rozsądniejsze” proporcje. Po czternastu dniach nadszedł wreszcie długo oczekiwany dzień zdjęcia gipsu, byłem bardzo podekscytowany. Pan doktor przywitał mnie z uśmiechem, zapytał, jak się czuję, i poprosił pielęgniarkę o zdjęcie gipsu. Zanim zobaczyłem się w lusterku, zapytałem, czy nos jest ładny; odparła że bardzo ładny i od razu widać, kto mnie operował. Zadowolony poprosiłem więc o lusterko i oniemiałem. Nowy nos był straszny: długi, gruby, szeroki i niekształtny. Zapytałem lekarza, który widział moje rozczarowanie, czy coś się jeszcze zmieni, na to pan doktor odparł, że chciałby, by tak się stało, ale na razie nos jest spuchnięty i muszę jeszcze poczekać nawet do trzech miesięcy, by móc ocenić stan faktyczny. Na odchodne dodał jeszcze, że u mężczyzny rozmiar nosa świadczy o długości penisa, dlatego powinien być duży. Wróciłem zdenerwowany do domu. Mama również nie była zachwycona wynikiem zabiegu, ale oboje postanowiliśmy uzbroić się w cierpliwość i spokojnie czekać, aż ustąpią obrzęki. Czas zwolnienia mijał nieubłaganie, musiałem wrócić do szkoły. Po czterech tygodniach od zabiegu nadal byłem mocno spuchnięty i wyglądałem nieciekawie, nos niewiele się zmienił. W szkole wszyscy oniemieli, to znaczy ci, którzy wiedzieli o zabiegu. Generalnie zadawano mi jedno pytanie: za co ja zapłaciłem tyle pieniędzy, skoro efekt jest tak mizerny. Nos prezentował się nieźle tylko z profilu, gdyż nie było już garbu, ale był bardzo długi, szeroki i „wiedźmowaty”. Ci, którzy nie wiedzieli o zabiegu, bardzo szybko zorientowali

się, że coś jest nie tak, po silnej opuchliznie twarzy. Resztę sobie dopowiedzieli lub dopytali i tym sposobem o mojej operacji bardzo szybko wiedziała cała szkoła. Szkoda tylko, że skoro już i tak wszyscy o niej mówili, to w charakterze nieudanej. Powoli traciłem nadzieję, że coś się jeszcze zmieni, mijały tygodnie, a nos był nadal okropny Owszem, schodziły obrzęki i rzeczywiście nos się jakby „ulożył”, ale nie wpłynęło to znacznie na jego wygląd.

Byłem totalnie załamany. Przez wiele lat marzyłem o tym zabiegu, tak bardzo czekałem na dzień, kiedy spojrzę w lustro i zobaczę mały, zgrabny nosek. A tym czasem stałem się właścicielem długiego, szerokiego nocha. Czułem ogromny żal do lekarza, który miał być moim „wybawcą”. Zaufałem mu, oddałem w jego ręce swoją twarz, a co za tym idzie, swoją przyszłą karierę zawodową, bo przecież trudno nazwać pracę dziennikarza telewizyjnego zawodem, w którym nie liczy się dobra aparycja. Po trzech miesiącach wybrałem się na konsultację do pana doktora, poinformować go o swoich zastrzeżeniach. Siedziałem na fotelu w gabinecie zabiegowym i spokojnie opowiadałem lekarzowi, co chciałbym poprawić i zmienić. Liczyłem, że spotkam się ze zrozumieniem, jednak zamiast tego pan doktor obraził się, nie mogąc zrozumieć, jak śmiem krytykować jego dzieło. Od niechcienia zaproponował mi gratisową poprawkę. Termin zabiegu wyznaczył na czerwiec, czyli sześć miesięcy od czasu operacji. Ton głosu lekarza wskazywał jednoznacznie, że nie widzi on wskazań do ponownego zabiegu, ale dla mnie najważniejsze było to, że już niedługo będę wreszcie wyglądać tak, jak chcę. Znajoma anestezjolog uspokajała mnie, że w przypadku korekty nosa tak dużego jak mój często konieczny jest drugi zabieg, ale to już tylko „kosmetyka” wieńcząca dzieło.

Pomimo złego samopoczucia nie miałem zbyt wiele czasu na zajmowanie się nosem. Wielkimi krokami zbliżała się matura i obrona pracy dyplomowej. Nauka w technikum hotelarsko-turystycznym dobiegała końca, więc dużo uczyliśmy się, aby oceny końcowe z przedmiotów szkolnych „ładnie” prezentowały się na ostatnim świadectwie. Dużo czasu poświęcałem również na przygotowanie pracy dyplomowej. I tu los znowu zetknął mnie z Michałem Jacksonem. Otóż temat mojej pracy dyplomowej brzmiał:

„Goście specjalni hotelu Marriott w Warszawie”. Moim zadaniem było przedstawienie samego hotelu oraz opisanie nocujących w nim VIP-ów, ze szczególnym uwzględnieniem prezydenta Billa Clintona i... Michaela Jacksona, który w tym czasie nocował w hotelu po raz drugi. Mojego promotora zafascynował fakt, dlaczego warszawski hotel Marriott jest ulubionym hotelem odwiedzających Polskę gwiazd i ludzi polityki, a ja z kolei miałem ten fenomen wyjaśnić w swojej pracy. Przygotowując się do jej napisania, rozmawiałem z wieloma osobami, które opiekowały się Jacksonem podczas jego pobytu w Polsce. Poznałem kulisy jego wizyty, a nawet jego jadłospis oraz obejrzałem apartament prezydencki usytuowany na czterdziestym piętrze hotelu Marriott, w którym artysta nocował. Mimo że część mojej pracy poświęcona była również ówczesnemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych Billowi Clintonowi, szczegółowe informacje związane z jego pobylem w kraju nie robiły na mnie tak ogromnego wrażenia. Być może z racji młodego wieku i systemu wartości charakterystycznego dla osiemnastolatka, a być może dlatego, że od czasu koncertu na warszawskim Bemowie bardzo lubiłem Jacksona i jak każdy fan chciałem wiedzieć jak najwięcej o swoim idolu. Tuż przed samą obroną pracy wybrałem się jeszcze raz do Warszawy, umówiony na spotkanie z pracownikiem hotelu. W mediach mówiło się wtedy dużo o planowanej wizycie Jacksona w Polsce, związanej z jego planami inwestycyjnymi. Artysta planował budowę rodzinnego parku rozrywki w Warszawie. Jadąc do stolicy, nie miałem pojęcia, że Jackson przyjedzie właśnie tego dnia. Przed hotelem panowało zamieszanie, nie wiedziałem, co się dzieje, a poza tym nie do końca mnie to interesowało, byłem zestresowany zbliżającą się wielkimi krokami obroną pracy dyplomowej, maturą i wizją egzaminów na studia dziennikarskie. Układałem sobie w głowie pytania, które zadam pracownikowi hotelu. Zamyślony, wchodziłem do budynku, podniosłem wzrok i oniemiałem. Przede mną w drzwiach stanął nikt inny, jak sam Michael Jackson otoczony tłumem ochroniarzy, którzy właśnie wyprowadzali go z budynku. Stałem jak wryty, nie zdążyłem nawet mrugnąć, gdy jego ochroniarze dosłownie „przestawili” mnie na bok. To było niesamowite wrażenie. Przyznam, że znam wiele osób publicznych

z pierwszych stron gazet, ale to spotkanie zrobiło na mnie ogromne wrażenie i szczerze mówiąc, jak dotąd nikomu nie udało się tego zmienić.

Ale wracając do tematu... może nawet dobrze się stało, że w tym okresie miałem aż tak wiele zajęć związanych z edukacją, bo nie miałem czasu na zastanawianie się nad problemem nosa, który niestety, mimo upływu kolejnych miesięcy, pozostawał paskudny. Pracę dyplomową obroniłem na ocenę bardzo dobrą, w swojej mowie końcowej powiedziałem, zgodnie z prawdą zresztą, iż powierzony mi przez promotora temat był dla mnie źródłem wielu przyjemności, satysfakcji i pozytywnych emocji.

Nadszedł czas matury. Wszyscy moi rówieśnicy przygotowywali się do niej ze wszystkich sił, koleżanki piły nawet kawę z cytryną, która miała być, jak sądzę, odpowiednikiem dzisiejszego redbulla. Nie wiem czemu, ale nie stresowałem się maturą, owszem, były dni, kiedy zastanawiałem się, co zrobię, jeśli jej nie zdam, ale zaraz uświadamiałem sobie, że muszę zdać, bo przecież chcę się dostać na moje wymarzone dziennikarstwo. Mama denerwowała się, kiedy tuż przed egzaminem widziała mnie z pilotem od telewizora w rękę, a ja ze stoickim spokojem powtarzałem: „Nie martw się, mamu, zdam”. I zdałem. Na egzamin poszedłem całkowicie wyluzowany i pewny siebie. Z politowaniem spoglądałem na koleżanki, których twarze wskazywały na wiele nieprzespanych nocy. Irytowało mnie to, że przed wejściem do sali nikt nie rozmawiał o niczym innym, tylko o maturze. Egzamin pisemny z języka polskiego napisałem jako pierwszy i po godzinie wyszedłem z sali. Mój nauczyciel cztery razy pytał mnie, czy jestem pewien swojej decyzji. Oczywiście, że byłem pewien, napisałem wszystko, co tylko można było napisać i nie widziałem sensu w siedzeniu z nosem w kartce i czytaniu pracy dwusetny raz z rzędu. Prosto po wyjściu ze szkoły zadzwoniłem do mamy, by opowiedzieć jej o egzaminie, schowałem krawat do kieszeni i poszedłem do solarium. Tak, tak, solarium nadal było moim najlepszym przyjacielem, tym razem kryjąc już nie błędy natury, ale lekarza.

Egzamin pisemny z matematyki był dla mnie nieco większym wyzwaniem niż ten z języka polskiego. Zawsze byłem humanistą,